Rok III Wrzesień-Grudzień 1932 Zeszyt 4-5

ZŁOTA NIĆ

Czasopismo młodzieży

I Pryw. Seminarjum N. Ż. im. Bł. Kingi w Tarnowie

Wychodzi co drugi miesiąc

Pojedynczy zeszyt kosztuje 50 gr

Nakładem „Gminy Szkolnej" I Pryw. Sem. N. Ż. im. Bł. Kingi w Tarnowie
Odpowiedzialna Redaktorka: Łącka Stefanja, Tarnów, ul. Tertila l. 18

Drogie Koleżanki!

Tyle czasu upłynęło od chwili, kiedy dostałyście ostatnią „Złotą Nić" — — smutniejszą może, niż zwykle, bo bez seledynowego okrycia, ale równie szczerą i serdeczną.

Tyle miesięcy minęło od przejasnych dni wakacyjnych, spędzonych beztrosko w górach na kolonji, czy tylko przy żmudnem żniwie na ziemi ojczystej!

Już i półrocze minęło i długie ferje świąteczne się skończyły!

Zasiadłyśmy znowu do pracy, a w duszy nam jakoś dziwnie lekko — — — pewnie dlatego, że zmora twardego, pierwszego półrocza minęła. Do końca drugiego daleko. Jeszcze odetchniemy swobodnie jakiś czas...

Przeżywamy okres reformy szkolnictwa...

Pamiętam swoją rozmowę z jednym poważnym, sympatycznym kierownikiem szkoły powszechnej na wsi.

Kiedy ów sędziwy pan, uważając mnie, naówczas uczennicę IV kursu, za przyszłą „siłę pedagogiczną" i swoją koleżankę — zapytał mnie, co sądzę o tej nowej reformie szkolnictwa, opowiedziałam się za „starym" stanem rzeczy.

Bo przecież tak mi serdecznie żal Seminarjum, tak przykro pomyśleć, że tej szkoły, która nam dała tyle dobrego, właściwie już nie będzie; że choć zostaną te same, jasne ściany, to niewiadomo, czy będzie wśród tych „nowych" uczennic duch przyjazny i siostrzany dla nas, starych seminarzystek, może stanie zaporą między nami ta nowa nazwa klas czy kursów.

Przyznano mi pod tym względem pewną rację, ale równocześnie otworzono mi oczy na dodatnie strony tej nowej reformy.

„Walczyliśmy o to długo" — przedstawiał mi mój kierownik — „by dano nam sposobność do jak największego zdobywania wiedzy, by zatarły się różnice między nami, a tymi którzy się lubią chwalić, że skończyli gimnazjum" — — —

Bo tak zresztą bywa.

Przekonałam się trochę, zresztą wierzę i Twoim gorącym wywodom, zacny Kierowniku i wierzę mocno w to, że przecież reforma dąży ku lepszemu, kieruje się najszlachetniejszemi zamiarami i ma jeden wzgląd na oku — nas!

Sposobność do zdobywania wiedzy gruntownej daje nam dzisiejsza metoda pracy, tak niedawno jeszcze przez nas nielubiana, „pod kierunkiem"!

Tak nam ją ponętnie przedstawiono, tak sprytnie wprowadzono w praktykę, że dziś jest nam z nią już dobrze, a będzie jeszcze lepiej; uczenie się „pod kierunkiem" jest doprawdy porywające! Mimowoli brnie się poza granice, dawniej ściśle określonego zakresu pracy, mimowoli pożera się wzrokiem coraz to dalsze kartki niezadanej jeszcze lekcji, zainteresowanie przykuwa oczy do lektury, by potem łatwiej odszukać charakterystyczne cytaty.

Dziś poprostu nie wyobrażamy sobie dawnego sposobu prowadzenia lekcji języka polskiego, może nawet nie pamiętamy i zdziwiłybyśmy się zapewne mocno, gdyby nam zaczęto „wykładać“ „Polskę współczesną“.

Dlatego nie miałam racji, kiedy pisałam na początku, że sobie „odetchniemy“ jakiś czas jeszcze, boć przecież dziś niema już „pytanki na klasy“! Pracować trzeba systematycznie, gruntownie przygotowywać się do lekcyj np. w IV klasie, bo prowadzić „pod kierunkiem“, to o wiele trudniej, niż sposobem tradycyjnym; dlatego fatalna, choć niespodziana porażka nie powinna nam psuć opinji u „Dziadka“ o naszych zdolnościach pedagogicznych.

Przyjdzie czas, kiedy zrośniemy się z metodą — Sidor [1]) na śmierć i życie!

Choć czasami nam doprawdy ciężko.

Gdy oprócz Sodalicji orkiestra smyczkowa zabierze nam całe poniedziałkowe popołudnie, P. K. d. O. K. znowu piątkowe — a na „gawędę harcerską“ każą przyjść we środę, a na to — — — a na to — — — to dosłownie w głowie się kręci.

W szkole jednak zawsze mimo wszystko jest nam lżej żyć, a gdy Hela z Zośką zaczną się śmiać srebrzyście w swej ostatniej ławce, to każda „zadrze“ głowę do góry i raźniej spojrzy w życie.

W prawdziwe życie!

Bo na 3-cim kursie brzękolą skrzypce, tam odbywa się pogodne zebranie „orszaku“ sodalicyjnego, a na dole, w sali harcerskiej brzmi śpiew, który omal szyb nie roztrzaska!

I tak płyną dni zimowe prędko, a w długie szarówki przychodzi mi na myśl pytanie: Kto nowy napisze do „Złotej Nici“?

Kto opowie się pisemnie za naszą szkolną Rodziną?

Czy idą listy Drogich Nauczycielek dla „Złotej Nici“?

A kiedy błyśnie mi złota nadzieja w sercu, to czuję mocno, że usilna praca jednostek dla ogółu nie pójdzie na marne, że ideały szkolne żyją i w dalszem życiu — w duszy nauczycielki.

Wasza redaktorka

Z listów Koleżanek-Nauczycielek

Łosicze (Polesie)

Pierwsza godzina w szkole

Jest ich pełniutka klasa... — Gnieżdżą się po czworo i pięcioro w dwuosobowych ławkach. Ruchliwe, ciemne i jasne główki zwracają się w stronę drzwi, ciemne i jasne oczy wysyłają w moim kierunku zaciekawione i zaniepokojone spojrzenia. — Rozmieszczam tę gromadkę według wzrostu, posługując się często gestem, aby mnie zrozumiały.

[1]) Tak nazywamy metodę samodzielnej pracy, skutecznie wprowadzaną przez naszego Przezacnego Wizytatora, P. M. Sidora.

Przyglądam się przez chwilę małemu, na razie bezimiennemu dla mnie tłumkowi, usiłując wybadać, co się kryje w rozczochranych głowinach, poznając zewnętrzną fizjognomję mojej klasy.

Odwzajemnia mi się w tej obserwacji czterdzieści par oczu błyszczących i rozbieganych.

Widzę, że dziewczynki na „pierwyj deń uczenja" są naogół dość uroczyście ubrane. We włosach, „pomazanych" śmietaną lub wodą, mają ogromne, półkoliste grzebienie. Zauważył to i mały „sieroża", bo wśród ogólnej ciszy uczynił głośną uwagę w tonie głębokiego zachwytu: „Ot hrebuszok, by kołbasa".

Widząc, że po tym okrzyku wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu, zasłonił wstydliwie ręką wielkie, siwe oczy i spoglądał przez szpary palców na mnie, badając, jakie to uczyniło wrażenie.

Podchodzę do niego i pytam:

— Jak ci na imię? Odpowiedzią jest milczenie.

— Nie poniemajesz? (nie rozumiesz) — pytam powtórnie.

— Niet.

— No, jak tebe zowuć?

— Wołodja.

— Familja?

— Mielniczuk.

Pytam teraz kolejno. Okazuje się, że mam dziewięciu Mielniczuków, ośmiu Kuśnierewiczów i to wielu tego samego imienia. Często na pytanie pada odpowiedź: „Ne znaję". Wtedy objaśnień udzielają inne dzieci. Mam kilkoro dzieci, co do których informacje ograniczają się do tego, że to jest „Semenowa Katia", albo „Sidoczka, szczo eto jej mały Paraska". Wyjaśnienie tego odkładam do następnej lekcji.

Przekonywam się, że mam kilku „nadprogramowych" kandydatów do I oddziału, przeważnie bowiem rodzice nie znają dokładnie wieku dziecka. Tych odsyłam z powrotem do chaty. Opuszczają klasę z żałosną, dziecinną skargą: „Ja choczu w szkołu..."

Próbuję podać pewne wskazówki, co do zachowania się w klasie. Dzieci ćwiczą ukłony. Chłopcy dzielą je na kilka części. Zsuwają wraz obie nogi, potem przypominają sobie o ruchu głowy, więc podrywają ją energicznie w górę z okrzykiem: „Dzień dobryj". Mały Alosza w zapale odwraca się do mnie plecami i wykonywa głęboki ukłon, który pobudza do śmiechu całą klasę. Wołodja mówi swoje „dzień dobryj", siedząc. Przyglądam się i widzę, że nie chce wstać, bo biedactwo jest ubrane ledwo w strzępy starej odzieży, ktore pasami zwisają wzdłuż ciała. Przypominam sobie jego niedawno widzianą chatę.

Z wilgotnej ciemnicy, słabo rozświetlonej okienkiem o powierzchni 4 dcm^2, wyłaniają się niewyraźne kontury czarnego, zasmolonego pieca. Obok leży stary, wynędzniały, półnagi człowiek, zagrzebany w słomie i łachmanach. Trudno wyobrazić sobie większą nędzę.

Oglądam teraz ręce dzieci, aby się przekonać o stanie czystości. Niektóre pokryte warstwą brudu, na innych znać ślady szorowania piaskiem. Pytam o mydło. Zaledwie kilkoro dzieci posiada je w domu, ale używanie mydła do mycia rąk uważane jest za zbytek.

W tej chwili słyszę stukanie do drzwi.

Wchodzi starzec — typowy Poleszuk. Długie, siwe włosy i broda okalają wychudłą twarz. Białe, płócienne ubranie, przewiązane czerwonym „pojasem", na nogach łapcie. Prowadzi za rękę małego, czarnookiego chłopczyka. Od progu zdejmuje czapkę i powiada:

— „Proszu Waszej Miłości, pryjmijte mego malczyka w szkołu".

Pytam o nazwisko. Odpowiada, dodając z pewną dumą i godnością: „Szlachtycz". Za chwilę dzieci wychodzą na przerwę. Słyszę dialog, który prowadzi nowoprzybyły z kolegą. „Szlachtycz", rzuca mu drwiąco, ironicznie jeden z chłopców. „Waszeć", dorzuca po chwili. Malec prostuje się dumnie i z iskrzącemi oczyma odcina:

— „Ot, ja szlachtycz, u mene sinaja krew płynie, a ty mużyk — durnyj mużyk!"

I momentalnie dwaj, nie różniący się niczem od siebie „berbecie", zaczynają się zaciekle czubić, co wywołuje konieczność mej interwencji.

Odchodzą uspokojeni, a ja rozmyślam nad dziwną potęgą przesądu, który ugruntowały stulecia i nad trwałością, opartych na dawnych tradycjach, dziś już tak nieistotnych różnic społecznych, między tymi szarymi, prostymi ludźmi...

Kierońska Józefa

Tołcze (Białostockie)

Kochana Redakcjo — bardziej jeszcze Kochanej Szkoły!

Zgóry Cię przepraszam — Kochana, aczkolwiek nieznana Redaktorko — że ośmieliłam się napisać: „bardziej jeszcze kochanej Szkoły" — ale rozumiesz, że tak jak Ty, będąc Jej uczenicą, bardziej ją kochasz, niż mnie nieznaną koleżankę — tak i ja, będąc przez 5 lat jej uczenicą, ukochałam szczerze ten „nasz" niezapomniany Zakład.

Serdecznie dziękuję Wam, młodsze Koleżanki, że pamiętacie o nas, zwracacie się do nas tak serdecznie i zapytujecie o nasze życie tu, w tych wsiach, czy to nad Narwią, czy Prypecią, czy Dzisną!

Wyczułaś to dobrze, kochana Redaktorko, że to pisemko jest jakby ogniwem łączącem nas, rzucone na setki kilometrów od Tarnowa — z Zakładem, który zawsze jest czemś niezapomnianem i tak drogiem. Często wracam myślą do tych sal szkolnych i przypominam sobie chwile, spędzone wspólnie — takie beztroskie, których jedynem zmartwieniem była obawa „bury", czy lekcji praktycznej.

Kochane Koleżanki! Czas spędzony w Seminarjum — to okres najszczęśliwszy w życiu — kiedy powinno się pragnąć, by każda doba miała nie 24 lecz 48 godzin. Może ja zbyt niepoetycznie się wyrażam, ale szczerze — i wiem, że zrozumiecie, o co mi chodzi.

Piszesz Szanowna Redakcjo, że matura, to „strach z wielkiemi oczyma" — a ja powiem Ci, że matura jest bez porównania rzeczą łatwiejszą od chwili opuszczenia Zakładu — od chwili pożegnania — kiedy czujesz, że już wrócić Ci nie wolno do tego Zakładu, że idziesz w świat — w samodzielne życie, które różne niespodzianki Ci gotuje.

Nie będę dzisiaj pisała o swojej pracy — to na drugi raz. Chciałam Wam tylko podziękować za pisemko i podzielić się z wami swojemi myślami.

Ponieważ już przed świętami nie będziemy mogły się skomunikować, zasyłam Wam serdeczne życzenia.

Wróćcie zdrowe i zadowolone po świętach i z zapałem zabierzcie się do dalszej pracy.

Maturzystkom życzę „Szczęść Boże“ przy maturze!

Ślę koleżeńskie „Cześć“ *Janka K.*

Wołkowysk

Kochane Koleżanki!

Może nawet nie przypuszczacie, jak wielką przyjemność sprawiłyście mi przysłaniem Waszego pisemka. Świadczy to najwymowniej, że nasza Szkoła nawet po tylu latach nie zapomina o tych, którzy przeszli jej progi — a im dłuższy jest okres czasu, który dzieli nas od ostatnich chwil, spędzonych na ławie szkolnej, z tem większem rozrzewnieniem spotykamy to wszystko, co nam owe czasy przypomina.

Darujcie, że dopiero teraz do Was się zwracam, ale w naszej ciężkiej pracy, szczególnie tu na kresach, gdzie jest jeszcze tyle do zrobienia, tak trudno nam urwać bodaj chwilkę czasu, dla swoich własnych spraw.

Później gdy znajdę więcej wolnego czasu, postaram się i ja coś Wam napisać do „Złotej Nici“ — która nas wszystkie wiąże jedną ideą

Łączę serdeczne koleżańskie pozdrowienie

Marja Graboniówna

Alger (Afryka)

Wzruszona pamięcią o mnie składam Księdzu Dyrektorowi serdeczne podziękowanie za „Złotą Nić“. Jak po pieczęciach widzę, dostałam ją z ogromnem opóźnieniem; przeleżała gdzieś na poczcie dwa miesiące.

Z zaciekawieniem czytam pisemko, szukając między listami „Starszych“ nazwisk moich koleżanek; niestety jednak, widocznie należymy do tych starszych, jak tu mówią „prolongees“. Cóż zresztą dziwnego, tak dawno jak rozjechałyśmy się, czasem i wierzyć się niechce, że już tyle lat upłynęło. My zamierzamy uciekać w tym roku od palących promieni afrykańskiego słońca, które zaczyna dokuczać, i odwiedzić rodzinne strony. Nie omieszkam więc osobiście podziękować Księdzu Dyrektorowi za pamięć o mnie. —

Tymczasem ślę ukłony od siebie i od męża

Emilie de Saint Laurent

Harnes (Francja)

.... Coraz lepiej czuję się we Francji. Zadowolenie to daje mi przedewszystkiem praca. Najważniejszą rzeczą jest dla mnie obecnie kurs oświaty dorosłych. Lekcje są dwa razy tygodniowo i obejmują j. polski łącznie z literaturą, historję i geografję. Udział w kursie bierze przeważnie młodzież do lat 22 i to sami mężczyźni.

Ogromnie są chętni; widać, że to życie na obczyźnie nie pozwoliło im zapomnieć o kraju. Niejednokrotnie słyszę zdanie: „Gdybym to mógł do kraju wrócić“. —

To samo i dzieci szkolne. Jeśli im się się opowiada o Polsce, pokazuje obrazki i opowiada o pięknie ziemi, to tak słuchają, a oczy im

się błyszczą z radości. Po skończonej lekcji, a często i wśród niej opowiadają, że chcą jechać do kraju, by te wszystkie cuda zobaczyć, a jedno maleństwo nawet mi zaproponowało, żeby je do walizy zamknąć i z sobą wziąć, gdyż na podróż nie ma pieniędzy.

Gorzej jest jednak z pisownią i gramatyką. W zadaniach błąd przy błędzie, tak, że czasem nie można domyśleć się znaczenia wyrazów. Trudno jednak tak dużo od nich wymagać, jeśli polskiego mają tylko jedną godzinę dziennie, a francuskiego pięć. A co można zrobić przez jedną godzinę? Przytem brak podręczników, z jednej książki czytają 3 lub 4 dziewczynki. Francuzi niezbyt przychylnie są ustosunkowani do nauczycielstwa polskiego. Nie podoba się im to, że przeszkadzamy asymilacji, utrudniamy zrealizowanie ich planów. Starają się polskie dzieci usuwać z godzin ojczystego języka, lada nieporozumienie między rodzicami dzieci, tłumaczą przed władzami na swoją korzyść.

Co do metod nauczania, to Polska już dalej zaszła. Tutaj uznają jeszcze sylabizowanie. Nauczycielstwo francuskie, bardzo mało się orjentuje w psychologji i pedagogji, a już o zastosowaniu pewnych nowszych rzeczy w nauczaniu mowy niema. Kij także ma tutaj swoje prawa.

Z tego wszystkiego widać, że Polska górą!

Janka Sołyżanka.

Poranek ku czci Stanisława Wyspiańskiego

„Wielkości! komu nazwę twą przydano,
ten tęgich sił odżywia w sobie moce
i duszą trwa, wielekroć powołaną,
świecącą w długie narodowe noce".

Z rapsodu: „*Kazimierz Wielki*"

Ćwierć wieku temu ..

Poszarzała mogiła poety, omszały kamień grobowy zapadł się głębiej w ziemię i tylko nad nim według życzeń Genjusza:

„wicher gałązki łamie,
gałązki zeschłe, zwiędłe, kruche...
w jesienną, deszczną zawieruchę".

Dawno już temu.

Lecz duch poety trwa i świeci „w długie, narodowe noce".

A w białe dnie, w tę wielką, listopadową rocznicę, słuchają małe dzieci ze Szkoły Ćwiczeń opowiadania o wielkości Stanisława Wyspiańskiego i choć niewiele pojmują z jego poezyj, z szacunkiem wieszają jego portret w swych klasach, by mieć go zawsze przed oczyma.

Starsza młodzież przygotowuje poranek ku jego czci.

Zebrałyśmy się wszystkie w naszej „świetlicy", aby uczcić pamięć poety.

Sala przystrojona pięknie staraniem IV-go kursu.

Tu i ówdzie widnieją aforyzmy z dzieł Wyspiańskiego, głównie z „Wyzwolenia", na oknach witraże, precyzyjne naśladownictwo witraży artysty-malarza; w postaciach rozpoznajemy Św. Franciszka i Bł. Salomeę.

Uroczystość rozpoczął nasz chór szkolny, poważnie, uroczyście hymnem „Veni Creator" —

Zstąp Gołębica, Twórczy Duch!

Uzbrój dusze nasze w swe „siedem darów łask" — rozjaśnij mrok naszych zmysłów, napełnij nas mocą i zapałem, byśmy mogli:

„z wiarą wieków podjąć Czyn!"

Koleżanka Ważydrążanka w swym referacie ujęła treściwie twórczość poety, omawiając z jego dramatów głównie „Wesele", „Wyzwolenie" i „Akropolis".

Referat został wygłoszony z subtelnością, wrodzoną naszej Jance.

„Modlitwa o Polskę żywą" brzmiała w ustach uczennicy z IV-tej klasy ze Szkoły Ćwiczeń, Jędrzykiewiczówny, poważnie i błagalnie, bo przecież tu chodziło o rzecz wielką — o „poczucie sił" w narodzie i „Polskę żywą".

Kimlówna z klasy III-ciej oddała z ogromną głębią uczucia, z jakiemś rzewnem, dziecięcem zapatrzeniem „w niebo" — „Wiersz do Matki Boskiej".

Program Szkoły Ćwiczeń zakończył jej śpiew: „Pieśń z Legendy.

Orkiestra smyczkowa odegrała z wyczuciem: Początek i zakończenie IV aktu „Akropolis".

Dwie koleżanki uprzytomniły nam scenę z „Wesela" — rozmowę poety z panną młodą: „Gdzie Polska?"

„Kaz" była „ta Polska" — kilkadziesiąt lat temu, za czasów poety?

Szukać jej było trudno i bezcelowo — choćby i na całym świecie. Ale mimo tego, że nie było widać jej na karcie Europy, żyła zawsze, dopóki biły serca Polaków, bo

„to Polska właśnie".

Koleżanka Kuczakówna przeniosła nas w swej deklamacji: „Śluby królewskie", na falach swego mocarnego, spiżowego głosu, do Katedry Lwowskiej, gdzie król, Jan Kazimierz, obiera Matkę Najśw. Królową Korony Polskiej.

Głosem, porywającego swym zapałem „kaznodziei", zwróciła się do nas koleżanka Kudówna, wołając:

„Do góry, bracia do góry!„
(„Wyzwolenie)"

Hymn państwowy był zakończeniem tej podniosłej uroczystości.

Wyszłyśmy wszystkie z głębokiemi refleksjami w duszy. Bo znowu stanęło nam przed oczyma to, co odczuwamy przy każdej prawie uroczystości narodowej: gorące upragnienie wolności Ojczyzny u Polaków w niewoli i wiara przepotężna w jej odrodzenie.

I Stanisław Wyspiański woła zapewne w proroczem widzeniu:

„Zorze za tobą idą, zorze,
Zorzana płynie krasa róż"

Umiłował poeta przyszłe Państwo polskie tak gorąco, że w buncie przeciw niedoli i niewoli zapowiada:

„Zwyciężę na tej ziemi,
z tej ziemi Państwo wskrzeszę!".

Ognisko harcerskie na Buczu

Miło płynęły nam wakacje tegoroczne na Buczu. Roboty miałyśmy bardzo dużo, ale zato żyłyśmy wszystkie nadzieją zobaczenia czegoś wielkiego, radosnego: miałyśmy brać udział w konferencji światowej harcerstwa na Buczu.

Przeczuwałyśmy, że wielki ten dzień się zbliża. Aż tu pewnego wieczoru padł rozkaz komendantki: Za godzinę mamy być na Buczu!

Słyszysz? idziemy na Bucze — mamy tam powitać zagranicznych gości.

Zaczyna się gwałtowne przygotowywanie „ogników". Ognik składał się z drewnianego kubka, w którym miała się znajdować oliwa. Na oliwie miał być knotek, podtrzymywany „pływaczkiem". Jedne więc druchny łamią i wiążą patyczki w trójkąciki, inne smarują kubki przeciwpalnym płynem, a inne jeszcze kręcą się koło kuchni, by przygotować kolację przed wymarszem.

Wtem gwizdek i rozkaz szybkiego umundurowania się.

Teraz każda z druchen dostaje, przed chwilą wykończony kubek, z trójkątnym pływaczkiem i knotek. I tak z kubkami w rękach — długim sznurem, jedna za drugą podążamy do celu.

Droga prowadzi pod górę, przez pastwisko. — Zmrok robi się coraz większy — wnet gwiazdy wystąpią na niebo. Po chwili wchodzimy do lasu i pniemy się leśną drogą w zupełnem milczeniu. Droga jest kamienista, gdzieniegdzie wystają rozłożyste korzenie sosen. Ale i tego niedługo, bo las się już skończył. Przed

nami rozciąga się wielka, pochyła, znana nam łąka, z masztem w środku, przeznaczonym na międzynarodowy sztandar.

Skupione pod lasem napełniamy swoje kubki oliwą i wkładamy w pływaczki knoty, które toną w oliwie i dodają nam pracy, tak niepożądanej w tej chwili.

W tem od strony szkoły instruktorskiej doleciało nas uderzenie dzwonu raz, drugi i trzeci.

W tej chwili w dwóch odległych punktach ukazują się światełka a jest ich coraz więcej. Zrazu migocą słabo, lecz stopniowo rozjaśniają się i świecą żywo wśród nocy.

Ktoś mnie trąca — to druchna, stojąca przedemną, podaje zapalone łuczywo, bym zaświeciła swą lampkę. Zapatrzona w dal i mnożące się ogniki, nie zauważyłam, że i nasza drużyna zapala płomyki.

Po chwili grupy ogników rozsypywały się i wydłużały i posuwały sie naprzód. I my dążyłyśmy do celu.

Oliwa w kubkach przy szybkim marszu *chleboce* się, grozi zalaniem płonącego knotka. A przecież każda z nas ma za punkt honoru donieść ogienek na miejsce.

Przy tych płonących jasno ognikach widać rozjaśnione twarze harcerek. Każda odczuwa głęboko powagę i wielkość tej chwili, jej radość i potęgę. Bo oto zbliża się chwila, w której cały świat przez swe przedstawiecielki ma razem z nami wznieść wspólne ognisko, ognisko gorące, jasne, symbol zbratania harcerek całego świata bez względu na narodowość i przekonania polityczne.

Jesteśmy na miejscu. Zebrane są wszystkie harcerki. Do ogniska, wzorowo ułożonego przystąpiła druchna lady Baden Powell, pochyliła się, zapaliła ognisko i z wysuszonych gałązek świerka polskiego buchnął w górę ogień wesoły, czerwony, silny, i oświetlił życzliwie uśmiechnięte twarze zagranicznych gości. Do tego wspólnego ogniska dorzuciła każda z nas swój płomyk, jak do wspólnego braterstwa swoje gorące serce, a ognisko potężniało i wybuchającemi kłębami iskier ogłaszało światu, że konferencja światowa w Polsce rozpoczęta. *„Maciek“*

W Tatry - obrazek z kolonji

Zamilkły beztroskie śpiewy i w jednej chwili okna wagonu wypełniły się głowami dzielnych turystek, uczestniczek harcerskiej kolonji w Ochotnicy.

Przed naszemi oczyma rozciągała się „letnia stolica Polski", Zakopane, a nad nią granitowy strażnik – „rycerz uśpiony".

I oto już po niedługim czasie szłyśmy malowniczą doliną Strążyską, wpatrzone w leżącą, skamieniałą postać olbrzyma.

Pełny majestatu i niewzruszonego pokoju, (który, zda się, spływa z ramion krzyża nad nim rozpiętego), króluje Giewont okolicy.

Tak, ale to podobno dopiero początek tego piękna, jakie nas tam dalej czeka.

Po nocy, spędzonej w Zakopanem, wyruszyłyśmy wozami do Morskiego Oka.

Nicto, że „furki" trzęsą tak naprawdę „po góralsku" – wzrok biegnie hen wokoło, by niczego nie pominąć, by jaknajdłużej nacieszyć się widokiem piękna ojczystego.

Pierwszy postój i oczom naszym ukazały się, mieniące się tysiącami barw „Wodogrzmoty Mickiewicza".

Z hukiem i szumem spada woda ze zrębów skalnych i wnet zamienia się w błękit, seledyn, zieleń i znów bezbarwna bieży wdal.

Znowu siadamy i jedziemy dalej, aż wreszcie i kres naszej dzisiejszej wędrówki. Po krótkim odpoczynku w schronisku turystycznem podążyłyśmy nad Morskie Oko.

Pomiędzy szaremi, majestatycznemi szczytami lśniła senna toń jeziora. Na drgające, srebrzysto – zielonawe fale, spływała wieczorna cisza i kładła się na dumne szczyty. Skalna panorama Morskiego Oka do połowy zasnuta była oponą mgieł. Od czasu do czasu lekki powiew wiatru zakołysał wierzchołkami i znowu wzlatywał do góry, jakby chciał odsłonić naszym oczom tajemnicę białych mgieł.

A toń jeziora co chwilę zmieniała swą szmaragdową barwę i przykuwała nasze oczy do tego czarownego cudu przyrody. Zaczęłyśmy się piąć po skalnych stopniach, ku górze, do Czarnego Stawu.

Nie wiem naprawdę, co piękniejsze, bo jakkolwiek Morskie Oko wygląda, jak jakiś obraz z zaczarowanej krainy, to Czarny Staw przeraża poprostu swoją potęgą, a zarazem zachwyca dziką pięknością.

Stanęłam wsparta o kawał głazu, u stóp rozciągała się panorama Morskiego Oka, a przede mną czarna tafla jeziora. Gładka była i nieruchoma ... a wokoło pasmo „dymiących" szczytów: Rysów, Mięguszowieckich, Mnicha i innych. Podążyłyśmy w stronę

Rysów, by w jednej ze szczelin dotknąć się śniegu, . . . prawdziwego śniegu w lipcu.

Powoli, powoli śnieżna opona mgieł rwać się zaczęła i na chwilę ukazały się oświecone zachodzącem słońcem, purpurowo szare Rysy, za niemi Mięguszowieckie, Cubryna i wkońcu Mnich. Przesłoniły się szczyty znowu tajemniczą mgłą, a od zasypiających granitów płynął w niebiosa szept wieczoru. A szept ten grał w szumie Siklawy, spadającej z pod Mięguszowieckiego. . . .

Wróciłyśmy na noc do schroniska. Noc zapowiadała się wesoło i jakkolwiek spało nas 21 na 7 wąskich siennikach, nic nas niemogło pozbawić dobrego humoru.

Rankiem poszłyśmy jeszcze raz nad Morskie Oko, by przesłać mu ostatnie pożegnalne spojrzenie.

Z głęboko wyrytym obrazem tego piękna ruszyłyśmy w dalszą drogę. Pięłyśmy się wąską ścieżyną hen wgórę ku Opalonemu, skąd przez Świstówkę do Pięciu Stawów.

Przed nami rozciągała się w całej swej okazałości panorama Tatr. Ostrożnie i powoli wstępowałyśmy w dolinę Pięciu Stawów.

Jakże maleńkim czuje się człowiek wobec tego ogromu piękna i potęgi. Dusza ludzka, przepojona wdzięcznością dla Boga Stwórcy, czuje się tak blisko Niego.

Po wypoczynku w schronisku przy Pięciu Stawach ruszyłyśmy w powrotną drogę przez dolinę Roztoki do Zakopanego.

„Wielka Siklawa" szumiała nam ostatnie pożegnanie. Po dość długim marszu znalazłyśmy się znów przy „Wodogrzmotach" i stąd zboczyłyśmy na krótsze drogi do Zakopanego.

Idąc za znakami, szłyśmy wciąż wgórę i wgórę przez t. zw. „Gęsie Szyjki". Droga była naprawdę ciężka. Co chwilę „zjeżdżała" któraś z nas po wilgotnych igliwach, co kilka kroków wielkie „wykroty" powalonych drzew zastępowały nam drogę.

Na widok tylu „trudności" zamilkłyśmy jakoś wszystkie, a wtem wśród ogólnej ciszy, jakiś zmęczony głos pytał: „Druchno Komendantko, czy my idziemy już do nieba?. . . .

Szczery śmiech rozległ się echem po leśnych stepach.

Droga dłużyła się nam bardzo. Wreszcie przedostałyśmy się na Halę Waksmundzką".

Stado puszystych baranów powitało nas głośnem beczeniem.

Na odległych już od nas szczytach żarzyły się ostatnie blaski zachodzącego słońca.

Późnym już wieczorem przybyłyśmy do Zakopanego. *Mila K.*

Wieczornica

W ostatnią niedzielę pobytu naszego w Ochotnicy urządziłyśmy dla tamtejszego ludu wieczornicę.

Na łączce obok Szkoły „sporządziłyśmy“ prowizoryczną scenę, ogrodziłyśmy 20 m^2 łąki z trzech stron gałązkami, — czwartą zostawiając otwartą dla widzów. Dekoracje były naturalne, a więc: zarośla, strumyk, a dalej potężne zbocza gór. Przed sceną wznosiły się ławki amfiteatralnie.

Zapowiedziana wieczornica uczyniła we wsi ogromne wrażenie. Już około godz. 3 zaczęto się schodzić, chociaż wieczornica zapowiedziana była na 6-tą.

Wieczornicę rozpoczął chór. Przed masowo zgromadzonym ludem odśpiewałyśmy kilka harcerskich pieśni i kilka ludowych.

Każda z „śpiewaczek“ powiedzieć chciała w pieśni o tej doli harcerskiej, która „wszędzie pędzi — wszędzie gna“, o tem, że „wydała złu bój“, mówiła o tem, że pogodą swego umysłu rozświecić chce mrok... i pieśń płynęła...

A lud słuchał... Nie rozumiał zapewne słów, mówiących o ideologji harcerstwa, ale interpretacja pieśni, — czar jej działał.

I płynęła pieśń... Płynęła potężna...

My w życiu idziemy na bezkrwawy bój!

Niosło echo wdal.

Następnych kilka piosenek skocznych, ludowych wywołało uśmiech na ustach słuchaczy, i tamte — otwierały przed niemi nieznane światy, te — były ich — swojskie.

Po chórze nastąpił „krakowiak“, pełen werwy i ognia, po nim zaś najważniajsza część wieczornicy, sztuczka: „Zaczarowany las“.

Przed oczyma zgromadzonego ludu rozwijała się historja przedziwna, wzbudzająca to przestrach, to podziw, to radość.

...Oto: druh Bolek, wysłany przez swą drużynę z ważnym listem do pułkownika, idzie przez las wraz z chłopcem wiejskim Maciusiem. Druhowie, chcąc się przekonać o sprawności obydwu, nasyłają na nich różne strachy. A więc pojawia się na scenie to „bies“ okropny, wywołujący podziw u starszych, a przestrach u dzieci — to „straszydło leśne“, które swym krzykiem budzi dreszcz zgrozy, to znów „wiedźma“, która wywołuje paroksyzm śmiechu. Pojawia się też „zaklęta róża“, która swoim czarownym śpiewem, ślicznym kostjumem i pląsem wprowadza w zachwyt obecnych. W zachwyt też wprowadza Bolka; idzie więc za nią, „za tym urokiem spiewającym“, przekazując doręczenie listu Maciusiowi.

Maciuś, na którego harcerstwo wywiera wpływ ogromny, okazuje się zuchem, bo pokonywa wielkie przeszkody, by zanieść list, który ma być dla niego „wkupnem do arcyrskiej prefesji“.

Zakończenie sztuczki — to uroczysty moment przyjęcia Maciusia do harcerstwa.

Wtem okrzyk głośny, wyrwany z piersi zgromadzonego ludu: Niech żyją harcerki!

Była to dla nas chwila droga.

Oni zrozumieli... Zrozumieli kim jesteśmy, a właśnie tak bardzo chciałyśmy im powiedzieć o naszem życiu, o idei naszej. Zrozumieli!

Jeszcze dla wesołości pokazałyśmy humorystyczny obrazek, „taniec masek“ — —

I jeszcze chór — — —

Pieśń płynęła po wieczornej rosie. Mrok zapadał. Zgromadzeni nie ruszają się z miejsc, stoją jacyś zadumani — pokazal się im świat nowy, tak inny od ich szarego, codziennego życia.

Kilka słów pożegnania: „Było nam u Was bardzo dobrze, już odjeżdżamy — — —“

Na nasze ostatnie ognisko została niemal wieś cała. Było nam razem tak dobrze — — — Ognisko przeciągnęło się do 11-tej godziny.

Bywajcie zdrowi! słychać było z naszej strony okrzyki.

Przyjedźcie na drugi rok do nas! słyszałyśmy z ich strony.

Janka W.

Ze Szkoły Ćwiczeń

Opłatek

Zostałyśmy zaproszone.

Sala gimnastyczna, nasza ukochana świetlica, obejmowała w ten dzień swemi gościnnemi ścianami wszystkich, t. j. dzieci, ich rodziców, nauczycielki i seminarzystki. Pod samą sceną na małych ławeczkach kręciły się niespokojne główki dzieci, nieco dalej ich wychowawcy, twarze poważne, często przeorane bruzdą troski, ale wszystkie jaśniejące radosnem oczekiwaniem uroczystej chwili. Dopiero wtyle, po kątach na drabinkach rozsiadły się „panienki“ i rzucały ciekawie oczyma, jeszcze niekiedy łobuzerskiemi, szczególnie te młodsze.

Dzwonek...

Kwiecista kurtyna rozsunęła się.

Szara, uboga stajenka.

Boże Narodzenie...

W środku Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus w żłóbku, tylko Św. Józefa niema.

Ale zato moc aniołów. Niebieskich, różowych, a wszyscy z jasnemi główkami i twarzyczkami naszych dziewczynek.

Przecież ten aniołek pyzaty, z zaciekawionemi, piwnemi oczyma i całkiem chłopięcą fryzurą — to mała Irka ze „śtuby“.

W środku przy żłóbku siedzi Wisia ze swoją bledziuchną buzią i białemi, jak len, włosami. Złożyła pobożnie rączyny i patrzy w żłóbek. Pewnie swemi dziecięcemi, niewinnemi oczyma duszy widzi tu i odczuwa obecność Pana Jezusa.

Aniołowie śpiewają Jezusowi i widzą Go.

Całą moc swych serc wkładają w swoje przemiłe głosy i oddają je Bogu w ofierze.

Po nauce zdążyli do stajenki i polscy uczniowie. Małe to, ale czupurne! Ale przed Dzieciątkiem pokornieją i schylają nisko głowy. Dziewczątka polskie to samo.

Nawet i te najmłodsze przybyły powitać Nowonarodzonego Jezusa. Wiodła je tu pewnie najsilniejsza Zocha i teraz składają wszystkie swe uczucia u stóp Jezusa w postaci czerwonych serduszek z papieru.

A kiedy z serca wszystkich dzieci wyrwała się ochoczo kolęda: „Pójdźmy wszyscy do stajenki", kiedy zajaśniało biało ustrojone drzewko, to coś drgnęło nam w sercach, odezwała się struna pamiątek lat dziecinnych i każdemu zrobiło się rzewnie, tęskno, choć radośnie.

„Dziadzio" ocierał mokre oczy pod okularami, oczy rodziców dzieci zamigotały wilgotnym blaskiem w świetle, twarze uczennic starszych spoważniały.

Bo stanęły nam przed oczyma duszy na chwilę te radosne, beztroskie lata lepszej przeszłości, kiedy tak samo cieszyłyśmy się, tak samo — pochłonięte jasnością drzewka i dźwiękami kolędy, byłyśmy tak blisko Boga.

Czasem uczucie rzewnego żalu zapełniło duszę za temi latami dlatego, że nigdy nie miało się tego szczęścia, nigdy nie było drzewka, a jeśli ono było, to może nie tak jasne i radosne.

Zawsze jednak śpiewano w zrzeszonem gronie kolędy, choćby te najprostszą: „Wśród nocnej ciszy".

Czyż i teraz powtórzy się to samo?

Zapewnie, choć w części, bo twarze wszystkich roześmiały się do tańczących dzieci, ubranych w wymyślne, piękne stroje.

Nastąpiło wspólne składanie życzeń ze strony naszych uczenic, Ks. Dyrektora, „Dziadzia" i „Kochanych Pań".

Z ust Ks. Dyrektora padły życzenia: „Bądźcie całe życie tak szczęśliwe, jak jesteście szczęśliwe w tej chwili i niech wam będzie zawsze tak dobrze, jak dziś". — Potem „zwyczajny" opłatek.

Chórowe, wdzięczne śpiewy dzieci, które z werwą śpiewały wesołe pastorałki, ale zapewnie z uroczystem przejęciem, bo niektóre ręce złożyły, jak do modlitwy.

Kilka odpowiednich deklamacyj, dużo pączków pełnych i rumianych, wiele muzyki i tańczenia przez małe osoby.

Radość, wesele, życie w naszej ciepłej i przytulnej świetlicy! Pełno błyszczących oczu, zaognionych twarzyczek, rozśpiewanej dziatwy.

Rodzice cieszą się radością dzieci, ich szczęściem i z duszy ich rwie się: „Obyście były zawsze takie szczęśliwe, jak dziś, w tych latach szkolnych, oby wam zawsze tak dobrze było w życiu, jak w tej chwili, w tej cichej, dobrej, serdecznej szkole"!

Oby dał Bóg!

Kronika

W dniach 1 – 2 lipca br. Sodalicja nasza wzięła udział w zjeździe „Dziesięciolecia Związku Sodalicyj Marjańskich" w Częstochowie. Sodalicja nasza była reprezentowana przez Ks. Moderatora oraz przez prezydentkę i dwie asystentki. Przez te dwa dni przeżyłyśmy wiele górnych i niezapomnianych chwil.

Dnia 1 września, na rozpoczęcie roku szkolnego wysłuchałyśmy Mszy świętej i egzorty.

Zaraz w następny dzień, na radość naszą padł cień żałoby, mianowicie odbyło się żałobne nabożeństwo za ś. p. P. Prezydentową Michalinę Mościcką. Dnia 16 września jedna z koleżanek wygłosiła odczyt o życiu i zasługach Zmarłej.

W „dni szopenowskie" odbył się odczyt i koncert (w sali „Marzenia"), poświęcony polskiemu Genjuszowi.

Dnia 16 października, w dzień Patronki naszego Zakładu, wysłuchałyśmy uroczystego nabożeństwa – oraz staraniem Sodalicji został urządzony uroczysty odczyt o Bł. Kindze.

Dnia 29 października obchodziłyśmy „Dzień Oszczędności". W dniu tym odbywały się propagandowe dyskusje, pod przewodnictwem wójtów, a w Szkole Ćwiczeń – Pań opiekunek klasowych.

Dnia 10 listopada ochodziłyśmy 14-tą rocznicę niepodległości Polski. Rano odbył się uroczysty poranek w Seminarjum. Wieczorem brałyśmy udział w wielkiej uroczystości, zorganizowanej przez młodzież wszystkich szkół średnich.

Dnia 11-go listopada odbył się m. in. wieczorek tarnowskiego „Strzelca" – w którym nasze uczenice odśpiewały szereg pieśni.

W dniach 22 – 26 listopada wizytował nasz Zakład P. Wizytator M. Sidor. – Metoda „pod kierunkiem" zyskała na sile.

Dnia 5 grudnia zjawił się w naszej świetlicy św. Mikołaj. Najpierw był u małych dzieci, a potem u „wielkich". Widać było, że w tym roku „starsze dzieci" poprawiły się, bo św. Mikołaj dawał mało rózg – jedynie tylko nasze Grono Nauczycielskie dostało je – nawet podwójnie.

Dnia 8 grudnia odbyło się przyjęcie do Sodalicji, a potem uroczysty hołd Najświętszej Matuchnie.

Dnia 15 grudnia obchodziłyśmy uroczyście 25-lecie śmierci Stanisława Wyspiańskiego.

Dnia 21 grudnia dzieci ze Szkoły Ćwiczeń miały tradycyjny „Opłatek".

Wielką atrakcją dnia następnego było „reformowane półrocze" – i rozpoczęcie trzytygodniowej „laby". Jakkolwiek wszelkie nowości są zazwyczaj niechętnie przyjmowane, to w tym wypadku było inaczej.

Opustoszały Tarnów dziwił się tej niesamowitej ciszy.

Z Drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie, ul. Wałowa 4. Telefon 311.